

AUTOR:

Marta Maciejewska ze Szkoły Podstawowej im. A. Fiedlera w Budziszławiu Kościelnym

Powiat Koniński, miejsce I

w kategorii wiekowej: uczniowie klasy VII i VIII szkoły podstawowej oraz gimnazjów.

Między pokojem a wojną – wspomnienia z lat 1914 – 1945

Niektóre wydarzenia nieodzownie towarzyszą nam przez całe życie. Są kartkami z pamiętnika, zapisanymi indywidualnie dla każdego z nas. To wydarzenia pełne szczęścia i radości, ale mówi się, że częściej i mocniej zapamiętujemy te fakty i zdarzenia, które sprawiły nam najwięcej bólu. Są takie sytuacje, których młode pokolenia nie są w stanie zrozumieć i nie potrafią ich sobie nawet wyobrazić. Świsł kul za oknem, wybuchy w kolejnych dzielnicach, szum ścieków podczas przeprawy przez kanały, jęki rannych ludzi...

„Jeżeli moje długie życie czegoś mnie nauczyło, to tego, że miłość pokazuje nam, kim chcemy być, wojna zaś - kim jesteśmy. Dzisiejsi młodzi ludzie chcą wiedzieć wszystko o każdym. (...) Ja pochodzę z dyskretniejszego pokolenia. Rozumiemy wartości zapomniane, urok ponownego odkrywania. Mimo to ostatni coraz częściej przyłapuje się na tym, że wspominam wojnę, moją przeszłość i ludzi, których zagubiłem. Zagubiłem. Brzmi to tak jakbym zostawiła gdzieś moich bliskich. (...) Nie są zagubieni. Nie znajdują się w lepszym miejscu. Oni odeszli.”

Kristin Hannah „Słowik” przekład Barbara Górecka

Są historie, o których dzisiaj ciężko opowiadać i ciężko je zrozumieć. Spróbuję je poukładać, może „coś” z nich ułożę...

Rok 1940. Siedmioletni chłopiec mieszka u wujostwa razem z dziewięcioletnią siostrą. Gdzie w tym czasie znajdują się jego rodzice i pozostałe rodzeństwo? Czy się „zagubili”? Zostali bestialsko zabrani przez Niemców. Chłopca natomiast przymuszono do ciężkiej pracy w gospodarstwie niemieckim. Dziecko, które powinno uczyć się w pierwszej klasie, za nic zostało skazane na roboty przy trzodzie i bydłe. Droga do pracy ciągnęła się przez trzy kilometry. Latem z dotarciem na miejsce nie było problemu. Zimą... nieco gorzej. Żeby nie zamarznąć w drodze, nocował w oborze. Zimne nogi rozgrzewał, wkładając je w zwierzęce odchody. Śpiąc razem z końmi i krowami, nawet nie myślał o tym, że może wydarzyć się coś, co jeszcze bardziej odmieni jego życie. W 1942 roku do gospodarstwa wujostwa przyjechała czarna furgonetka z czterema żandarmami niemieckiej policji. Zabrali wuja, z powodu zbrodni, jaką popełnił. Zbrodni? Czy ubicie świniaka po to, żeby wyżywić rodzinę było przestępstwem? Trauma, jaka przeżywała cała rodzina była nieopisana. Najczęściej zadawanym przez chłopca pytaniem było- dlaczego? Dlaczego on też się

„zgubił”? Jednak odpowiedź na to pytanie chłopiec (dziś mój pradziadek) poznał dopiero po wielu latach – wujek został zamordowany w Dachau. Dzisiaj dużo mówię się o ofiarach obozów koncentracyjnych. Gdy słyszymy o brutalnych mękach, jakie nasi bliscy odnosili w tych miejscach, mamy ciarki na skórze. Tylko, że z drugiej strony dochodzą nas słuchy, że gdzieś tam bezkarnie żyją oprawcy naszych rodzin, przyjaciół, znajomych i o obozach zagłady opowiadają z fascynacją, mówiąc jaki to był genialny eksperyment albo próbując oszukać rzeczywistość, plotąc setki kłamliwych tez.

„ [O Josefie Mengele – Auschwitz] W ramach badań przeprowadzał prymitywne operacje i bolesne testy, niemal zawsze bez znieczulenia. Wykonywał niepotrzebne amputacje... wstrzykiwał tyfus i celowo zadawał rany, by porównać reakcje. Pod skórę głowy wstrzykiwał rozpuszczalnik, żeby zmienić kolor włosów z ciemnego na jasny. [...] Jeśli jedno z bliźniąt umarło, Mengele natychmiast kazał zabić drugie, by brównocześnie przeprowadzić autopsję. Aparaty rentgenowskie wykorzystywał do sterylizacji kobiet. Dla kaprysu zakleił pewnej kobiecie piersi taśmą, żeby sprawdzić jak długo jej nowonarodzone dziecko wytrzyma bez pokarmu. [Syn o Josefie Mengele] Ojciec próbował mnie przekonać, że w ten sposób ocalił od śmierci tysiące ludzi... Twierdził również, że bliźnięta w obozie zawdzięczają mu życie. Przysięgał, że osobiście nie skrzywdził nikogo”

Gerald Posner „Jak żyć z piętnem ojca nazisty” przełożyła Elżbieta Janota

Rok 1943. Brat prababci - Tadeusz (16 lat) w czasie drugiej wojny światowej pracował u Niemców. W styczniu, w czasie pracy, zachciało mu się pić. Poprosił więc swoich pracodawców o odrobinę wody. jednak nikt nie zwrócił uwagi na jego prośby. W tajemnicy wyciągnął ze studni około szklanki wody. Po wypiciu przeszedł go dreszcz. Woda była lodowata. Ugasił pragnienie... na zawsze. Umarł na zapalenie płuc.

Rok 1940. Pradziadkowie od strony mamy zostali przewiezieni do Anielewa. Wyszli z żyznych ziem i przeniesiono do jałowych. Brakowało jedzenia. Prababcia poznała chłopaka. Był jej spełnieniem marzeń. Uczynny, życzliwy, pracowity, przystojny... Była przeszczęśliwa kiedy okazało się, że on też coś do niej czuje. Zaczęli się spotykać. Pewnego razu, kiedy wracali wieczorem ze spaceru, pocałował ją. Miłość pokazuje, kim chcemy być, wojna - kim jesteśmy . Tę scenę widział niemiecki żandarm. Nienawiść ludzka wygrała. Chłopaka zabrano do Auschwitz i zamordowano. Serce młodej dziewczyny zaczęło krwawić, gdyż pojawiła się w nim głęboka ran która z czasem mogła się zabiżnić, ale nigdy się nie zagoi. Często słyszy się stwierdzenie, że jeżeli się kogoś kocha, to tak jakby spoglądało się Bogu w twarz. Tylko , że w tym przypadku to zdanie skrywa więcej bólu niż prawdy.

W obecnych czasach ciągle słyszymy o niechcianych ciążyach, próbach usunięcia dziecka, miłości, która tak naprawdę nie jest miłością, ale kłamstwem. W tym wszystkim trudno odnaleźć prawdziwą miłość, ale ona istnieje, być może w tym ledwo dostrzegalnym człowieku obok nas...

Rok 1944. Sierpień. Warszawa. Piekło. Przyjaciel dziadków pojechał dwa miesiące przed powstaniem do Warszawy. Matka ofiarowała mu obrazek z wizerunkiem Matki Boskiej. W czasie wal pośród pocisków, kul i granatów, odmawiał modlitwę, wpatrując się w podarek od rodzicielki. Koledzy padali jak muchy, brakowało amunicji i nic już nie wskazywało na wygraną powstania. Przebywał w okolicach stolicy do końca wojny. Wrócił do domu i chociaż przeżył, to w pamięci pozostał mu obraz poległych kolegów. Dzisiaj, kiedy o nim piszę, przypomina mi się postać Mariusa Pontmercy z musicalu opartego na powieści Wiktora Hugo *Les Misérables* i jego piosenka *Pusty stół i puste krzesła*:

„ Och, wybaczcie przyjaciele

Co ja bez Was robię tu?

Jaki żal niewysłowiony, jaki przejmujący ból

Wasze duchy krążą wkoło

I upiorny tańczy cień

Pusty stół i puste krzesła

Już nie spotkam Was tu, wiem

Przyjaciele nie rozumiem

Jaki był ofiary cel

Pusty stół i... krzesła puste

I na zawsze zgasi Wasz śpiew... "

Wiele historii nie zostało i nie zostaną nigdy opowiedziane. Czas albo je wyleczył, albo udaje, że je zapomniał. Może chcielibyśmy wmówić sobie, że to nie wydarzyło się naprawdę, ale los nie był tak łaskawy. Miliony zapomnianych ludzi, którzy nie walczyli jako żołnierze, ale mimo wszystko walczyli, tylko inaczej - w swoim sercu, czekają na to, żeby opowiedzieć ich historię. Szukajmy ich, bo może siedzą obok nas - przy wspólnym stole, w autobusie. Może nawet nie zwracamy na nich uwagi. Zatrzymajmy się, bo jeśli my się nie zatrzymamy, to świat sam może się zatrzymać...

Źródła: historie opowiedziane autorce pracy przez pradziadków, dziadków, rodziców i wujostwo

AUTOR:

Wiktor Kujawa ze Zespołu Szkolno- Przedszkolnego w Kozarzewie

Powiat Koniński, miejsce II

w kategorii wiekowej: uczniowie klasy VII i VIII szkoły podstawowej oraz gimnazjów.

Na podstawie opowieści prababci Jadwigi Błaszczyńskiej

Jadwiga Łagocka z domu Błaszczyńska to moja prababcia. Urodziła się w 1936 r. i obecnie ma 83 lata. Mieszka we wsi Kozarzew w Gminie Kazimierz Biskupi. Codziennie ją odwiedzam, bo bardzo lubię słuchać jej opowieści z przeszłości. Często zastanawiałem się, jak żyła będąc w moim wieku. Jej wspomnienia nierozzerwalnie łączą się z wojną. Pewnego razu, kiedy ją odwiedziłem, postanowiłem ją o to zapytać. Za równo ja, jak i moi bliscy, byliśmy zaskoczeni, jak mało do tej pory wiedzieliśmy o jej dzieciństwie i młodości.

Powiedziała mi, że gdy wybuchła wojna 1939 r. była małym dzieckiem, miała zaledwie 3 lata, ale dobrze pamięta, co się wtedy działo. Nie do końca rozumiała co to jest wojna, ale czuła, że coś się dzieje, że jest jakoś inaczej. Wszyscy byli spięci, nerwowi, przerażeni. Miała dwoje rodzeństwa, dwuletniego brata i zaledwie półroczną siostrę. Mama jej - Janina Błaszczyńska często płakała przytulając ich, jakby miało za chwilę coś się stać. Malo mówiła, przestała się uśmiechać. Tata prababci - Ignacy Błaszczyński zniknął z domu, aby zarobić na utrzymanie rodziny. Mama zostawała z nimi w domu. Kiedy Niemcy osiedlili się w Kazimierzu Biskupim, można było często zobaczyć ich w Kozarzewie. Jeździli, rozglądali się, wchodzili do domów. Mieszkańców ogarniał paniczny strach. Niejednokrotnie słychać było strzały, huk przelatujących nisko samolotów. Kiedy zaczęło się ściemniać, wszystkie okna były zasłonięte i nie wolno było wychodzić z domu. Wojna zmieniła jej życie i życie jej rodziny. Tak minęło ponad 10 miesięcy. Pewnego lipcowego poranka 1940 roku do wsi przyjechali Niemcy i kazali się im spakować, zabrać ze sobą najpotrzebniejsze rzeczy i wyjść przed dom. Kiedy mama babci zapytała dokąd ich zabierają, nie odpowiedzieli. Zaczęła pakować się, aby zabrać jak najwięcej rzeczy. Niemiec ciągle ich poganiał krzycząc i popychając ich. W pewnym momencie wyrwał prababci pierzynę i nie pozwolił jej zabrać. Wtedy rodzice babci dowiedzieli się, że w ich domu będą mieszkać Niemcy. Prababcia tak się zdenerwowała, że zaczęła tłuc talerze, aby nic nie zostawiać nowym mieszkańcom. Została uderzona i wypchnięta na dwór. Wkrótce kazano im wsiąść na podstawiony wcześniej wóz i ruszyli w stronę Goliny. Dojechali do Spławia, gdzie kazano im wysiąść.

Przepędzono ich na łąkę po lewej stronie, tuż przed torami kolejowymi. Było tam bardzo dużo ludzi, kobiety i starcy siedzieli, mężczyźni rozmawiali, dzieci nieświadome zagrożenia biegały.

Po kilku godzinach nadjechał pociąg towarowy. Uzbrojeni Niemcy kazali im wsiadać do wagonów, popychając i krzycząc. Dwoje rodzeństwa nieśli rodzic, prababcia jako najstarsza szła na nogach. Nagle nadszedł Niemiec, wziął ją na ręce i pomógł jej wsiąść do wagonu. Kiedy już ich „załadowano”, zasunięto drzwi, pociąg ruszył. W wagonach było ciasno i bardzo gorąco. Nikt nie wiedział dokąd ich wiozą. Dotarli jak się okazało do Łodzi. Tam zabierano im to co było najcenniejsze. Mamie prababci zabrano złoty zaręczynowy pierścionek. Tych, którzy nie chcieli oddawać drogocennych przedmiotów bito. Jedna z Niemek otworzyła kompot i poląła siedzących w wagonie ludzi. Kiedy zabrano wszystkie kosztowności, pociąg ruszył dalej. Zaczęło brakować jedzenia i wody. Z relacji prababci dowiedziałem się, że około 100 osób umarło.

Po kilku dniach dotarli do stacji, był to Lublin. Tam wypędzano ich z wagonów i wozami rozwieziono ich do gospodarstw pod Lub linem. Prababci rodzina trafiła do Januszówki. Gospodarzem był pan Józef Jurek. Tata zmuszany przez Niemców pracował przy moście. Żeby nie brakowało jedzenia, tata wraz z sąsiadem hodowali po kryjomu świnie. Zabijali je, przetwarzali i rowerem wozili do miasta na sprzedaż. Było to bardzo niebezpieczne, ponieważ można było za to zginąć. Pewnego razu zatrzymano pradziadka, ale udało mu się przekupić Niemca mięsem i bezpiecznie wrócić do domu.

Nie był to spokojny czas, ciągle słychać było bombardowanie, strzały, wybuchy. W Januszówce urodziło się kolejne rodzeństwo, ale niestety, na skutek choroby, zmarło. Wkrótce pradziadka aresztowano, ponieważ posądzono go o kradzież świni. Zamknięto go w więzieniu w Łęcznej, skąd miał być przewieziony na Majdanek. Całe szczęście, że tak się nie stało. Kiedy zbliżał się koniec wojny, Niemcy byli zdesperowani i bardzo nerwowi, dlatego trzeba było być ostrożnym, żeby nie drażnić ich bo można było przypłacić życiem. Wkrótce pojawiły się bandy UPA. Kradli, zabijali wieszali ludzi często bez powodu. Jedni odchodzili, przychodzili następni. Wszyscy mieszkańcy byli przerażeni.

Nadeszła wiosna 1945 roku. Do Januszówki przyjechali rosyjscy żołnierze i kazali się im pakować. Do Lublina zawieziono ich wozami, a dalej do Warszawy pociągiem. Tam spędzili noc w ciemnej i zimnej piwnicy. Następnego dnia pociągiem przewieziono ich do Konina, a dalej pieszo wrócili do rodzinnego Kozarzewa. Nie było łatwo, wszystkiego brakowało, a ich dom był zajęty przez innych ludzi. Udało się im zakwaterować jako współlokatorzy we własnym domu. Cieszyli się z powrotu, a jednocześnie towarzyszył im smutek, bo przecież gdzieś tam daleko, na Lubelszczyźnie została część ich rodziny.

Po skończonej opowieści prababci, obiecałem sobie, że nigdy nie wrócę do tej rozmowy, bo wiedziałem ile ją to kosztowało i jak bardzo się wzruszyła i posmutniała. Dziękuję Ci babciu!

AUTOR:

Maks Kępski z Goliny

Powiat Koniński, miejsce III

w kategorii wiekowej: uczniowie klasy VII i VIII szkoły podstawowej oraz gimnazjów.

„Maurycy Korzeniewski – mój prapradziadek”

Na imię mam Maks. Mieszkam w małej miejscowości położonej między Słupcą a Koninem. Kiedy byłem małym chłopcem, pradziadek opowiadał mi o niewyobrażalnie trudnych czasach okupacji. Wówczas myślałem, że to bajki mojego ukochanego staruszka. Dzisiaj, kiedy mam 15 lat, zacząłem inaczej patrzeć na historie z dzieciństwa. Zainteresowałem się latami 1914-1945, dlatego postanowiłem wykorzystać wiedzę członków rodziny. W celu zebrania wskazówek do opisanie tych traumatycznych przeżyć moich przodków.

Maurycy Korzeniewski (rocznik 1890) - mój prapradziadek był najstarszym synem Józefa i Gertrudy. Po nim przyszło na świat jeszcze dziesięcioro rodzeństwa. Swoje dziecięce lata spędził na Sowiej Górze, gdzie od najmłodszych lat pomagał ojcu w pracy borowego i w ten sposób przygotowywał się do pracy leśnika. W dojrzałym wieku poznał Mariannę Kowalską z Białobrodu. Mając 28 lat - dokładnie 26 V 1918 w kościele parafialnym w Kazimierzu Biskupim, zawarł z nią związek małżeński. Po ślubie zamieszkali razem na Bieniszewie, ponieważ Maurycy jako młody borowy otrzymał tam od zarządcy ziemskiego jednocześnie właściciela lasu mieszkanie. Tam też urodziło się troje ich dzieci: Ryszard, Halina i Adam (mój pradziadek). Maurycy, będąc dobrym pracownikiem, po pewnym czasie otrzymał za niewielką opłatą 10 mórg ziemi we wsi Daninów i za zaoszczędzone pieniądze wybudował najpierw szopkę, a potem dom, w którym urodziło się dwoje kolejnych dzieci - Marta i Zofia.

Życie nie oszczędziło Mariannie i Maurycemu Korzeniewskim tragicznych przeżyć. Gdy ich córka Halina zaczęła dojrzewać, ciężko zachorowała. Bardzo bolał ją brzuch. Niestety nie było wówczas lekarza, który mógłby jej pomóc. Zmarła w cierpieniach w 1935 r. Rodzice nie mogli pogodzić się ze stratą córki, ale po upływie niespełna czterech lat od tego traumatycznego przeżycia, wybuchła II wojna światowa. Przezorni mieszkańcy zaopatrywali się wówczas w artykuły żywnościowe, naftę i opał. Chociaż znali wznioste hasła: „Silni, zvarci, gotowi” lub

„Nie oddamy ani guzika" nie wierzyli, że Niemcy zaniechają roszczeń wobec Polski. Mieszkańcy gminy zgłaszali się do wojska, wstępowali do służb pomocniczych, kopali rowy przeciwczołgowe, zbierali fundusze na zakup broni, oddawali konie i wozy dla potrzeb armii. Urząd gminy na bieżąco informował ludzi o zachowaniu się podczas nalotów i prowadzeniu akcji obronnej. 30 III 1939 r. rozpoczęła się powszechna mobilizacja. Ewakuowano pracowników gminy, poczty i policji. Wszystko odbywało się w spokoju i należyтым porządku. Nie było też paniki na wiadomość o wybuchu wojny. Jedynie po zrzuconiu dwóch bomb w Anielewie, ogarnęło ludzi przerażenie. Nastrój pogorszył się, gdy 5 IX 1939r. Niemcy zbombardowali polowe lotnisko w Białobrodzie. Nie wiedzieli, że dzień wcześniej eskadra w liczbie 28 samolotów opuściła lotnisko i przeniosła się do Ozorzyna koło Babiaka. Ulicami wycofywali się żołnierze 55 pułku piechoty Armii „Poznań”. Gdy po kampanii wrześniowej Polska znalazła się pod okupacją, wiele polskich rodzin zostało wywłaszczonych z własnego majątku i nieruchomości przez członków mniejszości niemieckiej zamieszkałych na terenie Polski. Kiedy żandarmi przyszli do domu rodziny Korzeniewskich zrywali deski z podłogi na parterze i na strychu. W stodole przekłuwali snopki słomy i przerzucali siano. Zbity do nieprzytomności prapradziadek Maurycy, zakrwawiona pra prababcia Gertrude prosili o litość, natomiast ich syn stał na schodach i głośno płakał. Jeden z żandarmów uderzył go w twarz tak mocno, że z nich spadł. Policzek miał spuchnięty, a z nosa ciekła krew.

Później Maurycy i Marianna musieli opuścić swoją posiadłość, na którą tak ciężko pracowali i wraz z najmłodszą córką udali się do domu rodzinnego pradziadka- na Sowią Górę. Tam rodzice Gertruda i Józef przyjęli ich pod swój dach. Starszą córkę Martę wcześniej przygarnął narzeczony Henryk Nowak, pracujący i zamieszkujący u tzw. polskiego Niemca o nazwisku Wajlant. W ten sposób chciał ją uchronić od ewentualnego wywiezienia na tzw. roboty do III Rzeszy. Zanim jednak Maurycy i Marianna zostali wywłaszczeni ich syna Ryszarda zatrzymali niemieccy żołnierze w tzw. łapance i przetrzymywali wraz z innymi parę dni w kazimierskim kościele parafialnym na chórze. Świątynia w głównej nawie wypełniony był zbożem. Gdy już uzbierała się odpowiednia liczba młodych ludzi, hitlerowcy wywieźli ich do III Rzeszy, aby pracowali na rzecz niemieckich gospodarzy jako bezpłatna siła robocza. Wiadomość o pojmaniu syna i jego dalszym niepewnym losie była dla rodziców kolejnym ciosem w samo serce. Jak się później okazało, nie skończyło się to dla niego samego tak źle. Ryszard po pewnym czasie uciekł z Niemiec do Anglii. Tam wstąpił w szeregi Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie i walczył u boku samego generała Stanisława Maczka. Po zakończeniu wojny wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Tam też założył rodzinę. Po wojnie napisał list, tym samym dając o sobie znać, że żyje i ma się dobrze.

W czasie wojny wielu ludzi o tzw. słabych kręgosłupach moralnych dla korzyści materialnej, zapewniło sobie bezpieczeństwa lub ze zwykłej ludzkiej złośliwości, zdradzało swoich sąsiadów, a czasem nawet bliskie im osoby. Takich niesprawiedliwych donosów doświadczył w mojej rodzinie także sam Maurycy - mój prapradziadek.

Był grudzień roku 1944. Mężczyzna mieszkający w sąsiedztwie, mając żal, że córka Maurycego- Marta wcześniej odrzuciła jego oświadczenia, ale i chcąc sobie przynajmniej zapewnić bezpieczeństwo ze strony okupanta, doniósł na jej ojca, że ten ma broń i zajmuje się produkcją alkoholu. Maurycy został aresztowany i przewieziony do więzienia w Koninie. Tam go przesłuchiowano, fizycznie i psychicznie torturowano. a swoje utrzymanie musiał zapracować, rąbiąc codziennie drewno, do czego niejednokrotnie brakowało mu sił. Dodatkowo dzienna racja żywieniowa była bardzo skąpa. Jak później po powrocie do domu opowiadał: „Nieraz po posiłku zazdrościłem psu biegającemu w ogrodzeniu, bo ten dostawał w nadmiarze”. Po trzech miesiącach więzienia Maurycy został oczyszczony z zarzutów i puszczony wolno, ale jego radość z tego powodu już na niewiele mu się zdała. Z Konina do domu szedł pieszo, trzy dni... Przemoczony, wyczerpany ze zmęczenia i głodu zmarł po upływie tygodnia tj . 17 marca 1945 r. Niestety nie doczekał końca wojny. Należy tutaj również wspomnieć, że człowiek, przez którego Maurycy niesłusznie został oskarżony i w ostateczności stracił życie, wbrew swoim oczekiwaniom nie spotkał się z łaskawością Niemców. (Notabene, kiedy do Polski nadciągały rosyjskie wojska, Niemcy tu i ówdzie zaczęli przygotowywać okopy. Często do kopania rowów wyznaczali najsilniejszych Polaków. Nieuczciwy sąsiad myślał, że za zasługi donosicielskie na rzecz Niemców, nie będzie musiał pracować jak inni. Pomylił się. Gdy nie stawiał się na kolejne wezwanie, przyjechali po niego i pędzili przed sobą bosego do Kazimierza. Gdy brakowało mu sił, próbował się opierać, został zastrzelony). Marianna po śmierci męża Maurycego do końca swoich dni zamieszkiwała w Daninowie z najmłodszą córką Zofią i jej mężem Bartłomiejem. Przez dalsze swoje życie utrzymywała dobre kontakty z siostrami swojego męża, szczególnie tymi, które zamieszkiwały na Sowiej Górze

Życie mojego prapradziadka Maurycego daje dowód na to, że mimo wielu doświadczeń, walki ze swoimi słabościami można do końca swoich dni być wiernym narodowowyzwoleńczym wartościom i ojczystej ziemi.